

A movie poster featuring a man in a dark suit and a grey fedora hat. He is smoking a cigarette, and his face is partially obscured by shadows. The background is a dramatic sunset with a bright sun on the left and a dark, silhouetted building on the right. The overall mood is noir and mysterious.

Walid Kuliński

**DOCZEKAĆ JUTRA**

**Walid Kuliński**  
„Doczekać jutra”

Copyright © by Walid Kuliński, 2017  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2017

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski  
Projekt okładki: Robert Rumak  
Korekta: Marta Gralińska, Marlena Rumak  
Ilustracje na okładce: © – gatsi, stokkete, mimadeo [3], annaav – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-757-8

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Dla mojego syna, Kornela.  
Idź przez życie z podniesionym czołem  
a nie z zadartym nosem*

*Podziękowania należą się przede wszystkim  
Tobie, kochana żono. Trudno jest mi ująć  
w kilku słowach to, za co chciałbym Ci  
podziękować. Przede wszystkim dziękuję za  
Twoje dobro, miłość, wyrozumiałość oraz  
za to, że tyle wytrzymujesz ze mną.  
Dziękuję za cenne porady i wskazówki,  
które pomogły mi w powstaniu tej książki  
oraz wstępne słowa krytyki. Za wsparcie  
i motywację, gdy miałem chwile zwątpienia.  
Jesteś wspaniałą żoną i cudowną matką.  
Kocham Cię z całego serca. Dziękuję, że jesteś.*

Zauważył człowieka stojącego na skraju lasu, łapiącego stopa. Normalnie nie miał w zwyczaju zabierać autostopowiczów, ale tego wieczora postąpił inaczej, zwłaszcza, że okolica to totalne zadupie a w oddali świetliste pioruny rozświetlając granatowe niebo, zwiastowały nadchodzącą burzę. Zatrzymał się kilkanaście metrów za nim i zatrąbił. Autostopowicz, nie czekając chwili dłużej, od razu podbiegł do samochodu.

– Dziękuję bardzo – powiedział i bez pytania zajął miejsce pasażera.

Był to starszy mężczyzna. Opalona, zorana zmarszczkami twarz, mogła wskazywać, że mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat. Długie, siwe włosy wystawały mu spod okrągłego kapelusza i opadały prosto na postawiony kołnierz, ciemnego płaszcza przeciwdeszczowego.

– Powoli zaczynałem już tracić nadzieję, że ktokolwiek mi się dzisiaj zatrzyma – powiedział.

– Podobno nadzieja umiera ostatnia – skomentował młody kierowca i włączył się ponownie do ruchu.

– Tak też mówią. Dokąd pan jedzie?

– Do najbliższego miasta. Muszę znaleźć jakiś hotel, bo już ledwo widzę na oczy.

– To świetnie się składa, bo ja także. Więc czeka nas długa droga – przyznał z nieukrywanym entuzjazmem w głosie.

– Możliwe. Nigdy nie byłem w tych okolicach. Przynajmniej czas szybciej zleci i jest mniejsze prawdopodobieństwo, że zatrzymam się gdzieś na drzewie.

– To prawda. Razem zawsze raźniej i zawsze znajdzie się jakiś wspólny temat do rozmowy... Skąd wracasz?

– Byłem w delegacji. Od dwóch dni jestem w trasie i padam ze zmęczenia.

– Nie szybciej byłoby samolotem?

– A jak! Tylko widzi pan. Jest jeden szkopuł, boję się latać – przyznał bez wstydu.

- A latałeś już?
- Nie – pokręcił głową i uśmiechnął się zyczliwie.
- To skąd możesz wiedzieć czy się boisz?!
- Po prostu... Jakoś nie jestem do nich przekonany.
- Czyli się nie boisz, tylko twoja podświadomość tak sugeruje.
- Gdyby Bóg chciał, aby ludzie latali, dałby im skrzydła – skomentował.
- Dał im za to rozum, aby je sobie stworzyli...
- A pan. Boi się latać?
- Nigdy nie miałem takiej okazji, więc skłamałbym mówiąc, że się boję. Jednakże zawsze starałem się stawiać czoła swoim lękom.
- I bardzo dobrze! – pochwalił kierowca. – Najlepsza metoda, aby pokonać swoje słabości to zmierzyć się z nimi... Długo pan tak tam stał?
- Od jakiegoś czasu... Nie stać mnie na transport, więc musiałem kombinować. Trzema stopami tutaj dotarłem.
- No, to w końcu się doczekał... Miał pan szczęście, że się pojawiłem, zanim złapała pana burza!
- Czy ja wiem czy takie szczęście, Konrad – powiedział, ciągle wpatrzony w przednią szybę, po której zaczęły tańczyć wycieraczki, zgarniając pierwsze krople deszczu. Odwrócił powoli głowę i spojrzał na niego swoimi wielkimi, niebieskimi oczami.
- Po prostu wiedziałem, że będziesz tędy przejeżdżał, więc wystarczyło tylko uzbroić się w cierpliwość i poczekać na ciebie.
- Kierowca poczuł się, jakby ktoś właśnie wylał mu na głowę kubel, ścinającej krew w żyłach, lodowatej wody wraz z kostkami lodu. Zaschło mu w gardle, gęsia skórka zaatakowała jego drobne ciało, jeżąc włosy na całym ciele.
- Powiedz mi – odezwał się głosem kogoś, kto od dawna wie o głęboko skrywanym sekrecie i w końcu wyczekał moment, aby go wyjawić, stawiając delikwenta w niezręcznej sytuacji. – Dlaczego nosisz to głupie ubranie człowieka? Przecież obaj dobrze

wiemy, że narobiłeś w swoim życiu rzeczy, które nie do końca zasługują na miano ludzkich!

– Co?! – Krzyknął i gwałtownie wdepnął hamulec.

Pociągnęło ich po pustej drodze. Samochód zakręcił bączki na jezdni, po czym w tumanach kurzu zatrzymał się na poboczu.

– Wynocha stąd! – warknął Konrad, wpatrując się w starca, nienawistnym wzrokiem. Serce waliło mu jak oszalałe.

– To było zupełnie niepotrzebne – przyznał autostopowicz i wyglądził swój płaszcz. – Jak najbardziej rozumiem twoje zażenowanie. Ale jeżeli tym uczynkiem myślałeś, że mnie się pozbędziesz to niestety muszę cię zmartwić. Ten incydent tym bardziej zbliży nas do siebie.

– Powiedziałem, wynocha stąd, ty pomyłeńcu! – Wskazał mu palcem drzwi.

– Postaraj się uspokoić, bo zapewniam cię, że spędzisz ze mną więcej czasu, niż może ci się to wydawać – nie robił sobie nic z jego krzyku. Był opanowany.

– Wypierdalaj z mojego wozu!

– Noga na lewy pedał i jedziemy – powiedział i ponownie zaczął wpatrywać się w przednią szybę.

– Dobra. Chciałem po dobroci! – zachnął się i rzucił na pasażera.

Lecz nagle poczuł potworny ból w klatce piersiowej, aż wbiło go ponownie w fotel. Pas bezpieczeństwa, zaczął zaciskać się samoczynnie, unieruchamiając go skutecznie w fotelu i przestał nagle, gdy kierowca z trudem mógł oddychać. Nieznajomy, pochylił się w jego stronę i przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchamiając silnik.

– Posłuchaj – odezwał się głosem, nieznoszącym sprzeciwu.

– Sam powiedziałeś, że jedyny sposób na przezwycięzenie swoich lęków to wyjść im na przeciw. Dlatego proszę cię po dobroci. Jedź spokojnie dalej... Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to, gdy się zatrzymałeś... Po prostu poniesiesz teraz tego konsekwencje. Zawsze najpierw działałeś a dopiero później myślałeś

o konsekwencjach swoich czynów... Popuszczę pas, jeżeli obiecasz, że będziesz spokojny. – Konrad skinął głową. – Dobrze.

Autostopowicz nacisnął czerwony przycisk i pas wyskoczył z zapadki.

– Teraz jedź przed siebie – poinstruował.

– Już jadę – odpowiedział Konrad. Ale zamiast wbić bieg, rypnął starca pięścią w twarz i rzucił się na drzwi. – Jasny szlag!

Szarpał za dźwignię, ale drzwi ani myślały ustąpić.

– Jakbym gadał z dzieckiem – powiedział starzec, zbierając się do porządku.

Błyskawicznie chwycił swoimi wielkimi, grubymi łapskami za bluzę chłopaka i przyciągnął go brutalnie do siebie, spoglądając mu głęboko w oczy.

– Jeszcze jeden taki wybryk a kończymy naszą przygodę i gwarantuję ci, że minie sporo czasu nim ktokolwiek cię odnajdzie! – pogroził. – Ruszaj – odepchnął go od siebie.

Odpuścił. Poprawił ubranie, zerkając na mężczyznę z ukosa. Wrzucił w końcu jedynekę i ruszyli. Jechali przez dłuższy czas w zupełnej ciszy. Siedział jak na szpilkach, z napiętymi mięśniami, gotowy odeprzeć atak napastnika i przez cały ten czas obserwował go kątem oka.

– Rozumiem twoje obawy i nie dziwię ci się, naprawdę – odezwał się nagle, aż Konrad na ten dźwięk podskoczył. – Zawsze wszystkich oskarżałeś o swoje niepowodzenia. Miałeś pretensje do wszystkich, że tobą manipulowali. Decydowali o twoim losie. A ty, co robiłeś, aby to zmienić? Jak traktowałeś osoby, które oferowały ci swoją pomoc, co?! Doiłeś z nich ile mogłeś do czasu, aż przestali być ci potrzebni... Odgradzałeś się od nich wysokim murem, paląc wszystkie mosty.

– Nie wiem, co wzięłeś człowieku, ale ewidentnie musisz zmienić dilerę – odpowiedział, traktując go jak wariata. – Nie wiem skąd jesteś i skąd znasz moje imię! Zabrałem cię, bo stałeś tam sam... jak kółek w dupie!



– Ty nic nie robisz bezinteresownie, kolego – przerwał mu. – Czy ja miałem ze sobą transparent: Konrad, proszę zatrzymaj się? Nie! Nie zabrałeś mnie, bo nagle zrobiło ci się mnie żal, tylko dlatego, że bałeś się, że zaśniesz nagle za kółkiem i więcej nie będziesz posuwał w dupę swojej młodej sąsiadki, jak masz to w zwyczaju robić codziennie od kilku miesięcy. Czyż nie tak?

– Kim, ty, do cholery, jesteś?

– Jakby to ująć?... W sumie to jestem tobą!

– Jesteś kompletnie powalony! – parsknął śmiechem. – Masz nierówno pod sufitem!

– Świetnie! – Puścił w niepamięć jego uwagę i ożywił się, gdy w oddali, w strugach deszczu, pojawił się rozświetlony neon przydrożnego baru. – Akurat miałem ochotę coś zjeść! Co ty na to?! Ja stawiam...

Zjechał z drogi i wjechał kamienistą drogą na niewielki parking. Przejechał wolno przez plac, mijając bar, który bardziej przypominał chatkę leśniczego z migającym nad nią neonem.

– Idziesz ze mną? – zapytał, kiedy wysiedli z samochodu.

Konrad jednak zamiast iść z nim, postanowił wykorzystać po raz kolejny możliwość pozbycia się najwyraźniej chorego psychicznie mężczyzny i puścił się w długą, ile tylko sił w nogach. Oglądał się za siebie i widział jak nieznajomy wchodził do baru, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Nie ważne, w którą stronę by nie pobiegł i jak długo uciekał, za każdym jednak razem powracał w to samo miejsce – przed bar. Kiedy kolejny raz znalazł się przed barem, rozejrzał się czy nieznajomy nie czeka na niego gdzieś w ukryciu, po czym błyskawicznie wskoczył do samochodu.

– No dawaj! – Kręcił kluczykiem w stacyjce, ale silnik ani myślał zapalić.

W końcu po kilku bezskutecznych próbach, zrezygnowany, wyczerpany, wściekły na siebie, dał za wygraną. Wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiami, jakby to one były odpowiedzialne za całą sytuację i wszedł do chaty. W małym, dusznym pomieszczeniu,

gdzie twarze siedzących tam osób przypominały zbiegłych z ośrodka psychopatów, wypatrzył go. Siedział w najdalszym kącie przy stoliku i zajał się czymś.

– Ooo, wróciłeś – przywitał się, gdy podszedł do jego stolika.  
– A już zaczynałem się o ciebie martwić, że gdzieś się zgubiłeś – pchnął mu nogą krzeselko spod stolika. – Siadaj. Zamów coś sobie. Ja stawiam.

– Co się tutaj, do cholery, dzieje?! – Ani myślał się dosiąść. – Coś mi zrobił z samochodem?!

– A co się ma dziać? Przecież już ci powiedziałem, że jestem tobą a ty nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie. Przecież to niemożliwe, prawda?!

Nic nie odpowiedział. Cofnął się do baru przed wejściem i u grubego, zarośniętego barmana w zatłuszczonej koszulce zamówił wódkę z lodem. Wrócił do stolika i od razu wypił połowę.

– Świetnie, walnij sobie. Dobrze ci to robi. Dalej i tak już ja będę prowadził.

– Nie będzie żadnego dalej, rozumiesz?! – Postawił szklanę na stole i wałnął w blat otwartymi dłońmi. – Masz mi zaraz powiedzieć, jak mam się wydostać z tego syfu, wariacie! Odwal się ode mnie.

– Zrelaksuj się – sięgnął do kieszeni i pchnął w jego stronę paczkę papierosów. – Zapal. To cię uspokoi...

– Goń się, czubku! – Odtrącił na bok paczkę. – Gadaj, jak mam się stąd wydostać, ale już!

– Na twoim miejscu, nie krzyczałbym. Ci panowie, bardzo cenią sobie spokój i nie radzę tego zmieniać.

Obejrzał się za siebie a jasne punkciki przewiercały go na wyłot. Spojrzał ponownie na starca, ale ten, nachylony nad talerzem, zajał się hamburgerem. Dokończył drinka i zapalił papierosa nie spuszczając wzroku z niego.

– Dasz mi zjeść w spokoju? – spytał z pełnymi ustami, przełykając kęs. – Peszysz mnie...

– Czego ty chcesz ode mnie? Dlaczego się mnie uczepiłeś?!  
Przecież ci pomogłem.

Skończył hamburgera i wytarł usta serwetką.

– Nie kazałem ci... Czego chce? Zbliżyć się do ciebie. Spróbować odnaleźć punkt, od którego to wszystko się zaczęło. Pokazać ci to, co przeoczyłeś.

– Jesteś szurnięty...

– Najprawdopodobniej – skomentował. Po chwili wstał od sto-  
lika i spokojnie przeszedł obok chłopaka. Ten cofnął się szybko.  
– Chodź ze mną.

– Mowy nie ma! Nigdzie z tobą nie idę, rozumiesz? Chcę stąd wyjść.

– Dlatego właśnie nie masz innego wyjścia, jak iść ze mną.

– Ani mi się śni.

Starzec, podobnie jak to było w przypadku, gdy rozstali się na parkingu, ruszył w stronę pogrążonych w mroku schodów, nie oglądając się za siebie i zaczął wchodzić na górę. Konrad odpro-  
wadził go wzrokiem. Gdy ten pokonał już kilkanaście schodów i było jasne, że nie ma zamiaru się zatrzymać, pokręcił zrezygno-  
wany głową, warknął coś pod nosem i dołączył do niego. Weszli na piętro, gdzie po jednej stronie znajdował się rząd kilku drzwi a po drugiej, sypiąca się drewniana barierka.

– Lubisz grać w pokera? – odezwał się mężczyzna, gdy szli po drewnianym balkonie.

– Co?!

– Czy lubisz grać w pokera?

– Czy to ważne?!

– Tak czy nie?

– Tak, cholera! Lubię grać w tego pieprzonego pokera! Czy mógłbyś mi już wskazać to cholerne wyjście?!

– A więc lubisz ryzyko – skomentował i zatrzymał się przy ni-  
skich drzwiach. – Zagramy więc. Po mojej lewej stronie, na samym  
końcu tego ponurego korytarza znajduje się wyjście. Możesz teraz  
nimi wyjść i masz moje słowo, że nigdy więcej już mnie nie spotkasz.

– Albo?

– Drzwi naprzeciwko nas – spoglądał na białe wejście, które sięgało mu do wysokości piersi. – Tam znajdziesz odpowiedź na swoje pytania: kim i po co tutaj jestem.

Konrad podejrzliwie zerkał raz na niego, częściej jednak na drzwi w oddali, ale jakaś niewidzialna siła z czasem coraz częściej kierowała jego wzrok na drzwi przed nimi aż w końcu przyglądał się już tylko im. Wyciągnął dłoń i położył na klamce.

– Dokonujesz własnego wyboru – odezwał się, gdy chłopak nacisnął klamkę, uchylając drzwi. – Jednak muszę cię ostrzec. Gdy wyjdiesz stamtąd, nie będziesz już nigdy tym samym człowiekiem... Spotkasz tam kogoś, kto raz na zawsze, odmieni twoje życie...

Konrad pchnął drzwi do środka.

Od ponad godziny szalała straszna burza. Ale jeszcze straszniejsze od niej, były pioruny rozszechniające się na granatowym niebie, rozświetlając je przeraźliwie. Okropne grzmoty rozdzierały powietrze i odbijały się głuchym echem. Lało niemiłosiernie, a porywisty wiatr smagał ulewą, rozbryzgując krople deszczu na wszystkie strony. Potężne drzewa uginały się pod naporem niemiłosiernej siły żywiołu, jakby chcąc oddać mu należny hołd, słabsze, bez najmniejszych śladów oporu poddawały się i pękając z trzaskiem, łądowały na przewodach wysokiego napięcia, zrywając je. Rzeki wody przepływały ulicami, studzienki kanalizacyjne nie nadążały z jej przyjęciem albo po prostu były już przepelnione. Samochody z kołami zanurzonymi do połowy w wodzie, mozolnie przedzierały się przez miasto z pracującymi na pełnych obrotach wycieraczkami.

Stała na krzeselku. Szarpnęła parokrotnie sznurem, przewieszonym przez belkę, chcąc mieć pewność, że nie puści. Spędziła na jego wiązaniu niemal pół godziny, dlatego chciała być pewna, że efekty jej pracy nie pójdą na marne. Lina zgrzytała tylko, ciśniej zaciskając supły łączące ją ze stropową poprzeczką. Koniec linki, spleciony w pętlę założyła sobie na chudą szyję. Jedną ręką chwyciła zwisający sznur, a drugą maksymalnie zsunęła węzeł przy pętli. Już w tej chwili z trudem mogła oddychać. Plecionka łącząca dziewczynę z sufitem dyndała luźno, tak, aby dopiero w momencie upadku naprężyła się, skręcając kark nastolatce.

Z kieszeni spodni wyciągnęła żyłkę. Chciała mieć pewność, że umrze. Przyłożyła ostrze do zgięcia lewej ręki.

– Jeżeli kiedykolwiek napatoczy ci się do głowy pomysł, aby skończyć ze sobą i będziesz chciała się ciąć, to pedałuź wzdłuź. Nie w szerz... To nic nie da. Pozostaną ci sznyty a znajomi i rodzina od razu dopierdolą ci afisz: POJEBANA – usłyszała kiedyś od współlokatorki. – Pedałuź wzdłuź, rozharatasz je, jak pierdoloną żabę... Parę minut i sprawa załatwiona. Raz a porządnie...

Z oczami pełnymi łez i ustami wykrzywionymi w cichym skowycie odosobnienia i agonii, przejechała blaszką po ręce, rozcinając ją aż do nadgarstka.

Krew wytrysnęła błyskawicznie. Przełożyła metal do lewej ręki i to samo uczyniła z prawą. Widząc, jak gęsta ciecz tworzy na drewnianej posadzce poddasza wiśniową kałużę, jak w zwolnionym tempie wypuściła żyłkę, ręce obojętnie opadły wzdłuź ciała, przechyliła się do przodu i zeskoczyła. Zaczęła dygotać w mimowolnych skurczach, gdy ciężar spadającego ciała zerwał jej rdzeń.

Przylapała go w męskiej toalecie w momencie, gdy oparty o kaloryfer przy oknie, właśnie kończył palić papierosa.

– Panie Konradzie. Szukam pana po całym oddziale – przywitała się i spojrzała na niego pytająco, niczym matka, która właśnie przylapała syna na czymś niemoralnym i czekała teraz cierpliwie na wytłumaczenie.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitał się staruszek, zerkając na opartą o ścianę młodą lekarzkę z rękoma wsuniętymi w kieszenie fartucha.

– Prosiłam, aby pan więcej nie palił papierosów.

– Ależ kochana, ja nie palę więcej... Palę tyle, co zawsze. Zresztą, mi w tym stanie nic już nie może zaszkodzić. Wycięliście mi już chyba wszystko, co tylko było można a ten chuj...

– Panie Konradzie – zganiła go, kręcąc głową.

– No, co ja powiedziałem? – Rozłożył bezradnie ręce, uśmiechając się życzliwie. – Sama pani kochana wie, jak jest. W środku jestem pusty, a to bydle, jak było, tak jest. I nie zanosi się, aby już wyniósł się ze mnie. Więc mam chyba prawo do odrobiny przyjemności.

Lekarzka nic się nie odezwała. Staruszek skończył palić. Chwytał drewnianą laskę opartą o grzejnik. Otworzył drzwi do kabiny, wrzucił do sedesu peta i spuścił wodę.

– No, teraz może mnie pani już zbadać, jeżeli jeszcze jest co, w ogóle... O nie. Może i jestem starym przykiem, ale mam w sobie

jeszcze trochę kultury – uniósł się dumą, gdy chciała przepuścić go pierwszego w drzwiach. Ukłonił się szarmancko i teatralnym gestem przepuścił ją pierwszą.

Kilkadziesiąt minut później siedzieli już w jej gabinecie.

– Czy miewa pan jakieś nudności? – spytała, przykładając mu do piersi stetoskop. – Wdech...

– Nie... Dostałem takie małe radyjko – zażartował, wciągając przesadnie powietrze. – Wydech... Nie chodzi mi o takie nudności – uśmiechnęła się. – Czy dolegają panu bóle głowy? Zawroty? Kłucia w klatce piersiowej?

– Jedyne, co mi już staje to język w gardle, kochana. Serducho jeszcze się trzyma... o dziwo – zażartował, podnosząc się z kozetki.

– Dobrze.

– Kochana... – chwycił kobietę delikatnie za dłoń, gdy zdejmowała mu ciśnieniomierz. – Może i jestem stary, ale na pewno nie głupi... Ile?

– Wyniki są dobre... – usiłowała uniknąć odpowiedzi.

– Ile, pani Dominiko? – powtórzył i schował jej dłoń w swoich.

Kobieta zaczęła wpatrywać się czule w jego oczy, po czym spokojnie uwolniła się z jego uścisku, odetchnęła głęboko, jak gdyby w ten sposób chciała dodać sobie otuchy i oznajmiła niechętnie:

– Miesiąc. Może dwa...

– Rozumiem – jak gdyby nigdy nic dopiął koszulę i zszedł z kozetki. W jego głosie nie było smutku. Przyjął to na zimno. Jakby już pogodził się ze swoim losem. Rzucił z uśmiechem na twarzy.

– No to przykro mi bardzo, ale jeszcze przez dwa miesiące będzie musiała się pani ze mną użerać... A teraz niech pani wstanie, bo czuję się niezręcznie w pozycji, w jakiej się znajdujemy. Młoda śliczna kobieta z głową na wysokości mojego pasa. Jeszcze ktoś wlezie i Bóg jeden wie, co sobie pomyśli.

– Siostra oddziałowa jeszcze przed dwudziestą drugą zmierzy panu ciśnienie. A teraz jest pan już wolny – poinformowała i podeszła do stolika, na którym w małych, plastikowych pojemnikach,



podpisanych z imienia i nazwiska, stały posortowane lekarstwa w postaci kolorowych tabletek i płynów.

– Wolalbym, aby to pani mi zmierzyła ciśnienie a nie ta – rozjrzał się dyskretnie, aby upewnić się, czy aby na pewno sami znajdują się w gabinecie i dokończył: – stara jędma.

– Panie Konradzie... – zrezygnowana pokręciła głową.

– Zrzędzi gorzej niż ja. A to jej to nie pasuje a to, że za głośno rozmawiamy. Że znowu kolacja niedojedzona. A co ona się dziwi, skoro karmicie nas jakimiś papkami... Zresztą sama wygląda, jakby potrzebowała lekarza...

– Pani Basia już taka jest – skwitowała i odwróciła się wręczając mu do ręki jeden z przygotowanych dla niego pojemniczków.

– Dałaby mi pani zjeść schabowego i piwo wypić a nie jakieś piguły – zachnął się, odbierając lekarstwa.

– Chciałby pan...

– Nawet nie wie pani jak o tym marzę. Ehh...

Opróżnił zawartość pierwszego pojemnika, skrzywił się odbierając kolejny.

Drugi plastik oddał w momencie, gdy do gabinetu, jak poparzony wbiegł chudy jak tyczka i wysoki jak brzoza, młody lekarz ze stetoskopem na szyi i od drzwi zawołał:

– Dominika! Biegiem na OIOM!!!

– Proszę wracać na oddział! – rzuciła, odkładając pospiesznie pojemniki na stolik. Chwyciła z biurka swój stetoskop i wybiegła z gabinetu.

Wychodząc z pomieszczeniu przyłożył dłoń do ust i wypluł ukryte pod językiem tabletki, które następnie wyrzucił do najbliższego kosza stojącego na korytarzu i wolniutko, podpierając się łaską, doczłapał się do końca korytarza.

Podziemny parking niemal świecił pustkami. Zawsze czysty, dobrze oświetlony i monitorowany, stanowił jeden z licznych atutów hotelu. Niewątpliwie najważniejsze to luksusowe apartamenty i recepcjonistki, niczym wyłowione z wszelkich możliwych konkursów piękności, które rekomendowały je i zachwalały. Ciszę, rządząca w tych pustych murach, zakłócało brzęczenie jednej z neonówek, której kres dobiegał końca oraz odbijające się echem kroki i głos mężczyzny, żywiolowo pochłoniętego dyskusją przez telefon komórkowy.

– Od samego początku, skurwysyn pierdolony, patrzył na mnie jak Chinka na zezowatego! A skąd ja mam o tym, kurwa wiedzieć?!... Przecież jestem spokojny, do jasnej cholery! Nie wiem, rozumiesz? Już na dzień dobry był krzywo nastawiony na to wszystko! Najpierw przełożył spotkanie na dwudziestą drugą a jak przyjechałem do hotelu, chuj spóźnił się godzinę!... Możesz mnie przypalać żywym ogniem a ja nie mam pojęcia! – przerwał. Wywrócił oczy do góry, jakby chciał powiedzieć: „Boże Miłosierny, daj mi cierpliwość do niego” – Raz za razem zmieniał zdanie aż w końcu się wycofał! Dwie i pół godziny użerałem się z tym skurwysynem! Tak, właśnie to usiłuję ci przekazać... Koło nosa przeszło nam właśnie wszystko – wściekły oderwał aparat od ucha i ścisnął go z zamiarem ciśnięcia nim o beton, jakby to on był za wszystko odpowiedzialny. Powstrzymał się z trudem i teraz, z zamkniętymi oczami usiłował się uspokoić. – Wystarczająco już, że on podniósł mi ciśnienie! Daruj sobie... A poczujesz się z tym lepiej, gdy przyznam ci rację?!... Tym razem nie udało się!... Co mam ci powiedzieć, że zabrakło naprawdę niewiele?! To chcesz usłyszeć?... Nie mam pojęcia, Maurice, co się stało! Miał już umowę w łapach. Już ją podpisywał!... Ta suka, jego sekretarka! Nie wiem! Coś mu pokazała i zmienił zdanie w ostatniej chwili – zatrzymał się przy srebrnym Porsche. Oprócz niego,

zaparkowanych było jeszcze sześć innych samochodów, stojących w głębszej części.

Przełożył telefon do drugiej ręki, oparł się plecami o auto i zaczął szperać w kieszeniach spodni garnituru, w poszukiwaniu kluczyków.

– Mówię ci, że nie, a ty nie słuchasz! No tak, tyle, że kiedy mówię, to nie słyszysz! Posłuchaj. Jest godzina druga. Naprawdę, jestem wymęczony, wkurwiony i chciałbym jak najszybciej wrócić do domu... Nie ma mowy. Facet nie chce mieć z nami nic wspólnego... Miał już podpisany kontrakt, czekałem na jego podpis a on najnormalniej w świecie spalił go na moich oczach... Właśnie to – spalił go! Nie wiesz? Daj mi dzień wolnego. Muszę ochłonać... Nie rozumiem, wszystko przecież było dopięte na ostatni guzik... Widzimy się w środę. Cześć!

Odetchnął głęboko. Schował komórkę w wewnętrzzną kieszeń marynarki, wskoczył do samochodu, odpalił silnik, wrzucił bieg i z piskiem opon ruszył w kierunku wyjazdu. Pochłonięty oglądaniem filmu w swojej kanciapie strażnik, nie pokusił się ani na chwilę, aby wyjrzeć przez okienko i zerknąć, kto ośmiela się zakłócać mu seans. Jego palec, niczym zaprogramowany, automatycznie powędrował na przycisk unoszący szlaban. Wyjechał na tył czterdziestopiętrowego wieżowca, skąd rozpościerał się krajobraz rozświetlonego, uśpionego w dole miasta i miał właśnie jechać dalej, gdy niespodziewanie coś ciężkiego runęło na maskę samochodu, unosząc tył pojazdu na kilka centymetrów.

– Ja pierdołę! – rozdarł się i instynktownie zarzucił ramiona na głowę, osłaniając ją przed kawałkami szkła i rzucił się na fotel pasażera.

Gdy w końcu rozdygotany, podniósł się powoli, wyprostował i niczym młody żółw niepewnie wystawiający główkę ze skorupy, niezdarzący sobie sprawy, co go czeka w nowym świecie, spojrzął w dziurę, gdzie jeszcze kilkadziesiąt sekund temu znajdowała się przednia szyba. Wybełkotał coś pod nosem, szarpnął

się gwałtownie do tyłu a oczy wyszły mu z orbity. Zachłysnął się powietrzem i chwycił obiema rękoma za lewą pierś. Gdy umierał na zawał serca, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, jego mózg zdążył zarejestrować leżące twarzą do niego, na pogiętej masce, potwornie zmasakrowane siłą upadku, ciało kobiety w krwi i resztkach mózgu, wypływającego z wielkiej rany zmiażdżonej czaszki, jednoczącego się z czerniawą ciecżą, spływającą po po-gruchotanej blasze szkarłatnymi strugami, tworząc na asfalcie barwne jezioro. Nie dane było mu już dowiedzieć się tej nocy, że jego ukochana spodziewała się dziecka. A także tego, że to nie on był tego sprawcą; że od przeszło trzech miesięcy miała gorący romans ze swoim znajomym z pracy; odchodzi od niego, zaręczyła się i nie mogła wylecieć z nim w sobotę na Haiti, albowiem w sobotę wychodziła za mąż.

---

---

Szpitalne łóżko, gdzie na srebrnej foli termoizolacyjnej leżało roznegliżowane, zakrwawione ciało kobiety, w moment stało się areną walki, gdzie za zasłoniętą kurtyną do starcia na śmierć i życie stanęło troje młodych lekarzy.

– Tętno?! – zawołała wyprostowana jak struna Dominika, uciśkając rytmicznie klatkę chorej.

– Spada!!! – chudy lekarz zerknął za siebie. Usiłował zatamować krwawienie z poszarpanych, chudych przedramion pacjentki, nakładając na siebie kolejne warstwy gazy, które błyskawicznie przesiąkały krwią.

– No dalej, dziewczyno! – Lekarka spoglądała w nieobecne oczy dziewczyny, nie przerywając reanimacji. – Wracaj do nas...

– Dominika! Zaraz nam wyjdzie na prostą!!! – powiedziała lekarka stojąca za głową młodej pacjentki. Przykładała do jej ust maskę tlenową i wdmuchiwała zimny tlen.

– Dawać iskierkę! – Rozkazała Dominika, zakrwawionym przedramieniem przecierając czoło.

Chudzielec skończył właśnie nakładać kolejną warstwę. Zakrwawionymi rękoma błyskawicznie włączył defibrylator wmontowany w ścianę i podał jej przyssawki. Otworzył białą tubkę stojącą na szafce pod urządzeniem i rozsmarowała po nagim korpusie chorej jakąś płynną maź.

– Dawaj! – krzyknął, nie spuszczać oczu z respiratora.

Dziewczyna, niczym szmaciana lalka, bezwładnie podskoczyła na łóżku, wydając z siebie dziwny jęk.

– Jeszcze raz!!! – Doktor za jej plecami majstrował przy maszynie.

– No nie odchodź... Słyszysz?! – Błagalnym tonem prosiła Dominika, pocierając o siebie przyssawki.

Kolejny wstrząs.

– Tracimy ją!!! – krzyknęła koleżanka.

Następny. Respirator zabrzączał tylko dla siebie zrozumiałym głosem a tętno wciąż spadało w zastraszającym tempie.

Po chwili ciałem dziewczyny zaczęły wstrząsać potworne konwulsje. Rzucalo ją po całym łóżku tak, że musieli odstąpić teraz od swoich zajęć i z trudem usiłowali ją utrzymać. W chwilę później, najpierw z kącików jej popękanych ust zaczęły wydobywać się białe bańki śliny, takie, jakie wydostają się, gdy klejąc dętkę od roweru sprawdzamy skuteczność kleju, zamaczając go w wodzie, a po chwili, przez otwarte usta gęsto chlusnęła wymiocinami na twarze pochylonych nad nią osób. Z gardła zaczęło wydobywać się charczenie, przypominające odgłosy głośnego chrapania. Zaczęła dławić się własnymi wymiocinami, których teraz wszędzie było pełno. Nagle drgawki ustąpiły tak szybko, jak się pojawiły i gdy lekarze myśleli już, że to koniec a tętno zaczęło się stabilizować, tak, że Dominika ze spokojem mogła teraz oddać koledze przyssawki, które ten odłożył zaraz na miejsce i przygotowywał się właśnie do podłączenia pacjentce kroplówki. Dziewczyna niespodziewanie wygięła się przesadnie ostro w łuk i wyglądało to tak, jak gdyby jakaś niewidzialna siła unosiła ją teraz kilka centymetrów nad łóżkiem. Po chwili, z szeroko otwartymi ustami i oczami wywróconymi do góry białkami, opadła ponownie na łóżko, głośno wypuszczając z płuc ostatnie resztki tlenu.

– Nie rób nam tego, dziecko!!! – Chwyciła dziewczynę za ramię, jak gdyby chciała przywołać ją do porządku i automatycznie spojrzęła za siebie. Piiiiiii...

Cienki, zielony pasek pojawił się na monitorze komputera a klatka piersiowa chorej zapadła się.

\* \* \*

Gdyby w drodze do domu nie zatrzymała się w sklepie albo nie-co skróciła swoją rozmowę z koleżanką, być może zapobiegłaby temu, co zamierzał uczynić jej mąż.

A tak...

Niczego nie podejrzewając, pełna uśmiechu na twarzy, nucąc pod nosem tylko jej znaną, ulubioną melodię, wjechała windą na drugie piętro swojego bloku i spokojnie weszła jak zawsze do mieszkania. W przedpokoju, bez pomocy rąk, zsunęła z nóg buty, położyła na komodzie torebkę, zamknęła nogą drzwi i przeszła do kuchni, niosąc siatkę z zakupami. Wypakowała się, odkładając wszystko na właściwe miejsce, nastawiła w czajniku wodę na kawę i czekając, aż ta się zagotuje, przeszła do salonu. Dopiero, gdy przymknęła drzwi, zobaczyła go. Jej przeraźliwy wrzask przestraszył starą sąsiadkę na klatce, która wpadła na ścianę, przeżegnała się i chwyciła za pierś. Młoda lokatorka, mieszkająca pod nią, ze strachu upuściła na kafelki talerz gorącej zupy, który właśnie miała zamiar postawić na stole przed swoim siedmioletnim synem, pochłoniętym grą na przenośnej konsoli, a która teraz wylądowała na jego kolanach, kiedy chłopiec podskoczył na krzeselku z powodu hałasu wydobywającego się nad jego głową. Młody mężczyzna, zajmujący mieszkanie na przeciwko jej drzwi, związał się teraz na swoim łóżku, bardziej ze strachu niż z bólu, gdy jego partnerka, pieszcząc go, wyrwana nagle ze stanu skupienia, przygryzła o wiele za mocno jego penis, a która teraz siedziała naga obok niego i starała się go przeprosić, głaszcząc go po plecach. Zwłoki, z głową odchylną do tyłu, leżały w fotelu, rewolwer niedaleko na ziemi. Fragmenty ściany i sufitu zdobiły plamy krwi i resztki mózgu, które wysłał tam, strzelając sobie w usta.